NASZ ŚWIAT

TYGODNIK

DLA NASZEJ MŁODZIEZY

(BEZPŁATNY DODATEK DO „GAZETY MAZURSKIEJ").

Nr. 8. WARSZAWA-DZIAŁDOWO, MARZEC 1930 R. ROK II.

WIELKA ROCZNICA.

W ubiegłym tygodniu cała Polska obchodziła święto 10-lecia przyłączenia Pomorza do Polski. W Działdowie święto w dniu 16 lutego wypadło pięknie. W uroczystości, którą opisaliśmy w Gazecie, i w defiladzie wzięły udział oddziały Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego w ilości 470 osób. W sobotę, poprzedzającą święto, po nabożeństwie odbył się poranek dla wychowanków Państwowego Seminarjum Nauczycielskiego i Szkoły Rzemieślniczej. P. Dyrektor Seminarjum Biedrawa wygłosił odczyt o tem „Jak to przyłączono powiat działdowski do Polski.



Z życia osadników europejskich w Brazylji.

Koloniści czyli osadnicy wołami orzą przestrzenie, na których niedawno rosły gęste, stare lasy, a które koloniści sami wykarczowali.

NA NIEDŹWIEDZIA.

URYWEK Z POWIEŚCI HENRYKA SIENKIEWICZA „KRZYŻACY".

Wszyscy powtarzali, że na chorobę stryja niema lekarstwa, oprócz niedźwiedziego sadła. Trzeba było zabić niedźwiedzia, aby lekarstwo zdobyć.

Zbyszko poszedł najprzód w dzień. Odnalazł ślad koło barci, rozmazał trochę miodu po pniach, aby zapach znęcił zwierza, poczem wrócił do domu.

Wieczorem ubrał się dla ciepła w kubrak łosi bez rękawów, na ciemię nawdział żelazny czepiec z drutu, wziął widły dobrze okute, dwuzębne, i topór stalowy, na dębowym trzonku osadzony. O wieczornym udoju był już u celu, wybrał sobie dogodne miejsce, przeżegnał się, zasiadł i czekał.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami. Po wierzchołkach sosen tłukły się wrony, kracząc, gdzieniegdzie kicały ku wodzie zające, czasem śmignęła kuna. W gąszczach odzywał się jeszcze świergot ptaków, który stopniowo ustawał.

Nareszcie zorze rozpaliły się na niebie, od których wierzchołki sosen zdawały się płonąć jak w ogniu, i zwolna jęło się wszystko uspakajać. Bór szedł spać.

— Teraz, póki się wilki nie odezwą, będzie cicho — pomyślał Zbyszko.

Tymczasem od strony błota dochodziły jeszcze czas jakiś przytłumione odgłosy, podobne do ciężkiego stękania i poświstywania. Zbyszko spoglądał ku temu błotu z niecierpliwością. Mając widły i topór, nie obawiał się dzikich zwierząt, lecz myślał z niepokojem o siłach nieczystych i rad był, gdy owe gwary wreszcie umilkły.

Ostatnie blaski znikły, i uczyniła się noc zupełna. Kiedy niekiedy spadała tu i owdzie szyszka, wydając odgłos mocny, ale zresztą było tak cicho, że Zbyszko słyszał własny oddech.

W ten sposób przesiedział długi czas, pogrążony w myślach, zapominając wreszcie o niedźwiedziu, o lesie, o nocy i o sobie.

Nagle ocknął się Zbyszko. Ocknął się nietylko dlatego, że sobie przypomniał bór ciemny, ale i z tej przyczyny, że zdala za nim ozwał się jakiś szelest. Wówczas ścisnął mocniej widły w garściach, nastawił uszu i począł słuchać.

Szelest zbliżał się i po niejakim czasie stał się całkiem wyraźny. Chrupały pod czyjąś ostrożną stopą suche gałązki, szurały opadłe liście... Coś szło.

Chwilami szelest usiawał, jak gdyby zwierz zatrzymywał się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Zbyszkowi poczynało aż w uszach dzwonić.

Tymczasem kroki ucichły. Zbyszko jednak słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się może o dwadzieścia kroków za nim, jakby przysiadło. Obejrzał się raz i drugi, ale nic nie mógł dojrzeć. Nie było innej rady, tylko czekać.

I czekał tak długo, aż zdziwienie ogarnęło go po raz wtóry.

— Niedźwiedź nie przyszedłby tu przecie spać pod barcią, a wilk teżby nie czekał do rana.

I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy. A nuż to „co paskudnego" wylazło z błota i zachodzi mu z tyłu? I uczuł, że pod żelaznym czepcem włosy zaczynają mu się jeżyć.

Lecz po chwili szelest odezwał się przed nim, wyraźniejszy, niż poprzednio, a jednocześnie do jego nozdrzy doleciał swąd niedźwiedzi. Zbyszko odetchnął. Nie było teraz najmniejszej wątpliwości: szedł miś!

Zbyszko w jednej chwili przestał się bać i pochyliwszy głowę, wytężył wzrok i słuch. Kroki zbliżały się ciężkie, wyraźne; wkrótce dało się słyszeć sapanie i pomruk. W tej chwili zobaczył przed sobą wielki i ciemny kształt zwierzęcia, które, idąc z wiatrem, nie mogło go zwietrzyć, tembardziej, że zajmował je zapach rozsmarowanego po pniach miodu.

— Bywaj, dziadku! — zawołał Zbyszko, wysuwając się z pod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przerażony niespodzianem zjawiskiem, lecz był już zbyt blisko, aby mógł ratować się ucieczką, więc podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie, jak do uścisku. Tego właśnie czekał Zbyszko: zebrał się w sobie, skoczył jak błyskowica i całą siłą potężnych ramion, oraz własnego ciężaru wbił widły w piersi zwierza.

Cały bór zatrząsł się teraz od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrzmiał jeszcze straszliwiej. Chcąc dosięgnąć Zbyszka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie mocniej. Zbyszko, nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rękojeści. Człowiek i zwierz poczęli się szarpać i szamotać. Bór trząsł się wciąż od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Zbyszko nie mógł się jąć topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego, zaostrzonego końca wideł w ziemię, niedźwiedź zaś, schwyciwszy za osadę łapami, miotał nią i Zbyszkiem, jakby rozumiejąc, o co chodzi i, mimo bólu, nie dając się „podeprzeć". W ten sposób straszna walka przedłużała się, i Zbyszko zrozumiał, że siły jego się wyczerpią. Mógł także upaść. a wówczas byłby zginął. Więc wytężył ramiona, rozstawił nogi, wygiął grzbiet jak łuk i począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

— Moja śmierć, albo twoja!

I chwycił go taki gniew, że wolałby istotnie w tej chwili sam zginąć, niż bestję puścić. Wreszcie, zawadziwszy nogą o korzeń sosny, zachwiał się i byłby padł, gdyby nie to, że ciemna postać stanęła przy nim nagle, i drugie widły „podparły" bestję, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nad uchem!

— Toporem!

Zbyszko chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły widły, złamane ciężarem zwierza, który się zwalił, jakby piorunem rażony, na ziemię i zaczął na niej chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastała cisza, przerywana tylko głośnym oddechem Zbyszka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili dopiero spojrzał na stojącą obok ciemną postać i zląkł się znowu

— Ktoś jest? — zapytał niespokojnie.

— Jagienka! — odpowiedział cienki głos niewieści.

Zbyszko aż zaniemówił ze zdziwienia.

— Bóg ci zapłać — rzekł wreszcie. — Nie wiem, coby się bez ciebie przygodziło. A czemuś się nie odezwała?

— Bom się bała, że mnie odpędzisz.

— A ja myślał, że to „złe". Takiej drugiej dziewczyny, jak ty, na świecie niema. Tobieby na wojnę chodzić.

Rady praktyczne.

Odmrożenie nóg, leczone za pomocą sadła. Miejsce odmrożone, odznaczające się przykrem swędzeniem, nabrzęknięciem, poczerwienieniem i wydelikatnieniem skóry, dochodzącem nawet do tego stopnia, że dotknięcie o skarpetkę staje się bardzo bolesnem i czyni niepodobnem jej noszenia, smaruje się na noc grubą warstwą roztopionego sadła i obwija się na wierzch delikatnvm, starym płóciennym gałgankiem, na dzień na ten bandaż wkłada się skarpetkę, nosząc, o ile można, obuwie miękkie i obszerne. Po ośmiu lub dziesięciu dniach następuje pomyślny skutek.

Jak ratować człowieka płonącego? Jeśli widzimy człowieka, na którym pali się ubranie, to nie należy uciekać i tracić czasu na poszukiwanie wody, lecz rzucić na płomienie pierwszą lepszą kołdrę, dywan i t. p., wreszcie choćby własne zwierzchnie ubranie, by tym sposobem stłumić ogień, potem dopiero oblewać oparzonego wodą i stara się zdjąć z niego spalone ubranie, nie należy jednak ciągnąć siłą, gdyż tym sposobem można zedrzeć bąble, co jest bardzo bolesne i niebezpieczne. Poszczególne części ubrania trzeba rozciąć tak, aby ono samo pospadało; części, które przywarły do ciała, pozostawić do czasu przybycia lekarza. Oparzone miejsca należy dobrze opatrzyć.

Z KRAJU.

Bohaterski czyn 12-letniego chłopca. 7-letni syn kupca Pietrzaka, zamieszkłego w Chełmży, na Pomorzu, w czasie ślizgawki wpadł w przyrębel i począł tonąć. Ślizgający się w pobliżu 12-letni Bratza pośpieszył tonącemu chłopcu z pomocą i z narażeniem własnego życia wydobył go z toni. Po przeszło godzinnej pracv zdołano topielca przywrócić do życia.

Kto pierwszy odgadnie?

SZARADA.

Druga — pierwsza z ziemi jest wydobywana,
pierwsza — trzecia do butów bywa używana,
pierwsza — czwarta na morzu widziany,
a cały za to po Wisełce pływa,
trzecia — druga — trzecia na urzędzie bywa.

Rozwiązanie Szarady z Nr. 8 „Nasz Świat": „Botanika".

Druk L. Mioduszewskiego w Warszawie, Złota 45, tel. 147-94.